Olimp” Wojciecha Kościelniaka w Collegium Nobilium – starogreckie okrucieństwo. Czy tylko dawne?

Piotr Zaremba 2 października 2022, 22:34

Materiały prasowe

Dodaj komentarz: Udostępnij: Zapisz artykuł:

Czy „Odyseja” to tylko przypomniana nam groza świata dawnych wyobrażeń, gdzie czarownice, syreny i cyklopi wyrażali lęk przed nieznanym? Czy męka ludzi będących igraszkami złych, zazdrosnych bogów, mówi nam coś o kondycji człowieka?

REKLAMA

Spektakle Wojciecha Kościelniaka ogląda się zwykle jako coś istotnego. Nie zawsze odpowiadała mi oferowana w nich deformacja świata („Lalka” według Bolesława Prusa w gdyńskim Teatrze Muzycznym), ale ich strona wokalno-muzyczna zwykle przemawiała do mojej wyobraźni. Trudno było nie być zaciekawionym połączeniem: Kościelniak, „Odyseja” Homera i studenci czwartego roku Akademii Teatralnej. Zaintrygowany, trafiłem na premierę „Olimpu” w Collegium Nobilium.

Dlaczego oczami dzieci?

Czytam wstęp w teatralnym programie: „ „ODYSEJA” w oryginale jest baśnią, pełną fantastycznych lądów, istot, przygód i zjawisk. Karmi się tym co nieznane, nowe, zasłyszane, przeczuwane, obcość przyciąga i niepokoi.

Współczesna rzeczywistość przez gry komputerowe i kinowe superprodukcje tak bardzo została odarta z tego rodzaju magii, że warto się pokusić o nową interpretację. Cyklopy. Lajstrygoni, mściwi bogowie czy waleczni herosi dzisiaj nie fascynują w takim stopniu, co kiedyś. Dzięki technikom komputerowym wszystkie te nadprzyrodzone cuda można zobaczyć na ekranie. Pomimo oswojenia popkulturowych potworów, prawdziwy lęk pozostał, a może jest większy niż kiedyś. Czy nie dlatego, że coraz trudniej odkryć nam samych siebie? A przecież drugi człowiek i demony, które w nim mieszkają, jednocześnie nas ciekawią i budzą lęk. Nowe lądy okazują się być miejscami w wyobraźni, potężni i mściwi bogowie zamieszkują religie i politykę, a niebiańsko piękne boginie kuszą z reklam i portali społecznościowych.

Wydaje się, że najsilniej doświadczają takich uczuć dzieci, szczególnie te, które zaczynają przechodzić w młodość, a potem w dorosłość – kiedy zyskują szerszą świadomość istnienia i przemijania. To czas, kiedy konflikty, odrzucenia, porażki, fascynacje i lęki zdają się najważniejsze i ostateczne. Z tych powodów podejmiemy próbę spojrzenia na „ODYSEJĘ” Homera oczami dzieci”.

REKLAMA

Zamieszczam ten przydługi cytat, bo powinien mnie doprowadzić do jakiejś interpretacji. Istotnie na początku ósemka młodych aktorów (cztery panie i czterech panów) wstępuje na scenę jako bawiące się różnymi gadżetami dzieci. Te dzieci jakby trochę od niechcenia zaczynają nam opowiadać historię Odysa i jego towarzyszy, którzy po wojnie trojańskiej błąkają się po morzach próbując wrócić do rodzinnej Itaki. Zrazu robią to bardzo po dziecięcemu, potem coraz bardziej serio, dorośle.

„Zamek” Kafki w Dramatycznym – pożegnanie teatru literackiego

Ten tekst, komunikatywnie podawany przez aktorów Teatru Dramatycznego, jest jednak czymś więcej niż publicystyka, i czymś więcej niż sztuczka formalna. Piszę o tym z żalem. „Zamek” to przedostatnia...

Co ciekawe, na poły odgrywają scenki z podróży, a na poły je tylko opowiadają, językiem najstarszego tłumaczenia „Odysei”, autorstwa Lucjana Siemieńskiego, z 1873 roku. Jest on dziwnie archaiczny, zarazem wydobywa naturalne okrucieństwo narracji Homera, może mocniej niż tłumaczenia późniejsze.

Symbolem przemiany jest tu postać samego Odyseusza, Maciej Marcin Tomaszewski, choć grywa w serialach i „dorosłych” spektaklach, wciąż zachował urodę szesnastolatka. Na początku jest chłopcem w krótkim spodenkach (cała ósemka jest we współczesnych, choć dziwacznych strojach), nosi szkolną tarczę, podobnie jak jego żona Penelopa (Adrianna Hanslik). Strój zachowuje do końca, a przecież coraz bardziej staje się mężczyzną. Kończy jako okrutnik zabijający, jak rozumiem jednak w akcie Homerowej sprawiedliwości, zalotników nękających opuszczoną Penelopę. Oj, w tamtej chwili dzieckiem już nie jest, zdecydowanie nie.

Przyznam szczerze: tę wyjściową metaforę wchodzenia w świat Homera w roli dzieci nie do końca czuję, tym bardziej nie bardzo rozumiem. Że niby inaczej tego nie pojmiemy, jak z pozycji dzieci, bo jesteśmy już gdzieś indziej, dalej? Nie do końca czytelne są też dla mnie niejasne odniesienia do świata obecnego, zawarte w przywołanym słowie wstępnym („świat religii i polityki”, „boginie z reklam i portali społecznościowych”).

REKLAMA

Czy dlatego Mateusz Jakubiec, przebrany w ogóle w strój jakby kapłański, w jednej ze swoich ról, Heliosa, boga słońca, przywdziewa na chwilę katolicką stułę? A dlaczego Penelopa jest na moment w mundurze? A co symbolizują poskładane pod koniec niczym w ofierze na przedzie sceny współczesne stroje? Czy to rekwizyty dziwności dzisiejszej cywilizacji?

Podążając za opowieścią

Tylko, że... Tylko że przez większą część tej opowieści niespecjalnie mi te pytania i nieporozumienia przeszkadzały. Bo Kościelniak poprowadził młodych aktorów grających (w zasadzie poza Odysem i Penelopą) różne postaci, z pełną uroku teatralną umownością. Poprowadził tak, żeby mi opowiadali ciekawą historię. Żeby rozkoszowali się tymi staroświeckimi frazami, co czynią na ogół udatnie, sprawnie, i jeszcze z jakimś poetyckim naddatkiem. Żeby epatowali różnego rodzaju niesamowitościami. I to wychodzi – na ogół! Ot magia teatru.

Sam początek sprawił na mnie wrażenie cokolwiek chaotycznego. Ale potem, kiedy jąkający się

Karol Gronek świetnie opowiedział przypowieść o bogu Hefajstosie próbującym ukarać boga Aresa za romans z boginią Afrodytą (żoną kulawego Hefajsta), wszystko mi się zaczęło układać. Nie mogłem się oderwać od tych kunsztownie poukładanych fraz. Kunsztownie przybliżających nam świat dziki i okrutny.

A te wszystkie wstawki niby dzisiejsze? To co przybliża nam człowieczą naturę, jest do pewnego stopnia zawsze ponadczasowe. Więc się nie buntuję, nawet gdy nie wszystko pojmuję.

Zastanawiałem się tylko na jednym, trochę obok ewentualnych, dodatkowych skojarzeń. Znajomość świata klasycznego jest dziś coraz bardziej ograniczona. Ja po obejrzeniu w latach 70. włoskiego serialu o Odyseuszu, sięgnąłem i do „Iliady”, i do „Odysei”. Pamiętam mniej więcej schemat tej fabuły, wiem, kim jest czarownica Kirke, kim cyklop (a właściwie kiklop – grecka lekcja) Polifem, o co chodzi rządzącemu wiatrami Ajolowi, a o co Feakom. Ta podróż morska ma kolejne przystanki, jeden dziwniejszy od drugiego.

REKLAMA

Czy tak zwany normalny widz nie ma prawa się w tym pogubić? Ile z tego przyswoi? To paradoks. Nawet jeśli szukał współczesnych linków, Kościelniak zawiesił poprzeczkę dość wysoko.

A na ile panowali nad tym tekstem sami młodzi aktorzy? Nad tymi wszystkimi wyliczankami mitycznych imion, koneksji i rytuałów. No chyba jednak zdołali zapanować, skoro efekty są tak dobre.

Dobra sceniczna robota

Aktorzy grają na niemal pustej scenie, choć jednak zorganizowanej prostymi graficznymi symbolami (i grającym różne role, zwisającym z sufitu sznurem) przez scenografkę Annę Chadaj. Kostiumów nie komentuję, rozumiem, że są częścią tej nie do końca dla mnie uchwytnej koncepcji wyjściowej. Wystarczy, że mi nie przeszkadzały.

Ale tak naprawdę przestrzeń określała tu muzyka Piotra Dziubka. Klarowna, jakby wymykająca się modom i epokom. Nawet jeśli odrobinę chwilami ilustracyjna, to przecież taka jest natura teatru. W wielu momentach ta muzyka krzesała autentyczne emocje. Dzięki teamowi Jacka Kity. Wymieńmy wszystkich:Jacek Kita – piano, Andrzej Zielak – gitara, Jakub Szydło – perkusja, Sebastian Feliciak – saksofon.

Na szczęście młodzi aktorzy nadążają za muzyką i dobrze operują własnymi głosami. Jeśli potraktować spektakl jako sprawdzian ich technicznych umiejętności, choćby wokalnych, wydaje się on zdany. Akademia wciąż zapewnia taką sprawność. Skoro na koniec, podczas oklasków, wstał z miejsca na widowni ich arcymistrz Jan Englert, to chyba nie było źle

Na dokładkę uderza różnorodność ich twarzy i scenicznych temperamentów. A kilka lat temu pytałem, czy studenci AT nie są do siebie zbyt podobni na modłę seriali.

Ten spektakl należy w dużej mierze do Macieja Marcina Tomaszewskiego. Jest kompletnie inny niż Odys Homera, który był w poemacie dojrzałym facetem z dorosłym synem (i wielką dozą sprytu). To dostajemy historię dojrzewania, które dzieje się na naszych oczach, na scenie. Chłopiec staje się mężczyzną. Zarazem odrobinę krucha, choć zwinna postać aktora, wyrasta na uosobienie ludzkiego losu. Jest w tym żywiołowość, jest pasja. To bardzo dobra sceniczna robota.

REKLAMA

Ale ma też znakomitych partnerów. Ewa Bukała gra zgodnie z logiką przedstawienia wiele ról, ale jest zwłaszcza fenomenalną Kirke, zmienną, niesamowitą, przechodzącą płynnie od groteski do rozpaczy. Podobne przerysowania dotyczą Katarzyny Graneckiej, która w stroju baletnicy potrafi nas skutecznie przerazić – niczym postać ze złego snu.

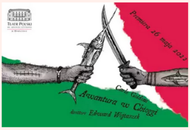

„Awantura w Chioggi" w Teatrze Polskim – komedia na uśmiech

Goldoni wciąż jest popularny. Daje nam burze w szklance wody. Ale mamy tam też opowieść o człowieku, który próbuje okiełznać ludzką naturę. To chyba postać samego autora.

Może największe zaskoczenie przynosi jednak Paulina Pytlak. Długo wydaje się naprawdę dzieckiem, bardziej dziecinnym niż Odys, pozostającym na drugim planie. Jako Kalipso gra jednak blisko finału na mocnym, tragicznym tonie. A jest jeszcze niesamowita scena, kiedy ta sama aktorka prowadzi nas poprzez starogreckie piekło opowiadając o Syzyfie, Tantalu i Prometeuszu – przelewa przy tym równocześnie strumienie czerwonej cieczy. Naprawdę brzmi i zresztą wygląda to sugestywnie.

Miałem pewien kłopot z Penelopą. Adrianna Hanslik długo wydawała mi się, także w stosunku do reszty aktorów, zbyt toporna, niezgrabna, agresywna. Ale doszedłem do wniosku, że tak kazał jej grać tę postać reżyser. Bliżej finału ma momenty naprawdę przejmujące. Poza wszystkim to jest także opowieść o wierności, o pamięci. Aktorka swoją symboliczną ingerencją w dramatyczne przygody męża symbolizuje te wartości coraz lepiej.

Karol Gronek (wiele postaci), Mateusz Jakubiec (Ajol, Helios i inni), Dawid Suliba (Polifem) – wszyscy są zarazem członkami załogi, towarzyszami Odysa. I pięknie radzą sobie z zadaniami wymagającymi brutalności, nadwyrazistości, czystej groteski. Każdy z nich jest sugestywny i charyzmatyczny – także w swojej odrębnej, jedynej i niepowtarzalnej fizyczności. Każdego się zapamięta. Kolejne, wyrzucane na jąkaniu się opowieści Gronka tak bardzo są ludzkie....

Po co nam „Odyseja"?

Ale gdy sobie odtwarzam kolejne sceny, choćby opowieść Pauliny Pytlak o Hadesie czy wizję przeciskania się marynarzy obok Skylli, stawiam sobie pytanie, o czym to jest. To znaczy, co nam dzisiaj mówi „Odyseja", choćby taka wpuszczona w strumień na poły współczesnych (bo przecież nie do końca współczesnych) skojarzeń.

„Amadeusz", czyli ostateczne pożegnanie

Wraz z premierą „Amadeusza" w reżyserii Anny Wieczur dostaliśmy teatr zrobiony z rozmachem, z wyczuciem formy, teatr pełen radości, jaką daje rozkręcanie teatralnej maszynerii na dużą skalę. Teatr w...

Czy to tylko przypomniana nam groza świata dawnych wyobrażeń, gdzie jak nam napisano w programie czarownice, syreny i cyklopi wyrażali lęk przed nieznanym? W końcu załoga Odysa dociera do końca znanego im świata. Czy męka ludzi nie mogących dotrzeć do domu, będących wciąż i wciąż igraszkami złych, zazdrosnych bogów, mówi nam coś ważnego o kondycji człowieka? Jako chrześcijanin, choć pełen wątpliwości i słabości, muszę się przeciw takiemu wyobrażeniu rzeczywistości buntować.

REKLAMA

Gdyby bogowie trzęsący ziemią i ludźmi (choć właściwie, wynika to z wielu fragmentów „Olimpu", bynajmniej nie wszechmocni) byli tacy, jak ich widział Homer, powinniśmy siąść i płakać. Ale może taka oferta filozofii przyrody i człowieka pozwala tym lepiej być przygotowanym do refleksji, czego my od świata oczekujemy. Jaka jest nasza wykładnia tego, co nas otacza. Byłby wówczas spektakl Kościelniaka, tak sprawnie ułożony z różnych puzzli, nie tylko zbiorem okropności, które już niby nas nie przestraszą, bo wszystko widzieliśmy. Byłby czymś więcej. Choć skądinąd momentami jeszcze i straszy.

Nie wiem, na ile oddaję intencję reżysera. Tak to czuję. Odys to wieczna ofiara, permanentny starożytny Kandyd. Zręczność z jaką wywija się przeciwnościom nieubłaganego, ma być źródłem optymizmu. A równocześnie opowiedziana z mechanicznym okrucieństwem końcowa, dokonana przez niego masakra, stawia przed nami inne pytanie. Na ile możemy i na ile powinniśmy się z nim utożsamiać. No właśnie...

„Fanatycy prawdy” w Teatrze Ochoty. Polacy wierzą w spiski?

Pochwały za solidne wykonanie nie zmieniają jednak mojego sceptycyzmu wobec „Fanatyków Prawdy”. Dotknięto czegoś ważnego, ale nie wychodząc poza mocno jednostronną publicystykę.